

KSIĄZKI, do których ślednie się wraca, nie zawsze zalicza się do literackich arcydzieł. Częściej są to „powieścida” bądź „czytadła”, przy czym w tych określeniach więcej jest życzliwości i sympatii niż lekceważenia. „Ania z Zielonego Wzgórza” i dalsze tomy opisuja losy rudowłosej bohaterki, prowadzące ją od dzieciństwa aż po wiek dojrzały — to taka właśnie lektura. Kto raz się z nią zetknął, wcześniej lub później jeszcze po nią sięgnie. Znajdzie bowiem na kartach tej książki to, o co w życiu czasem najtrudniej: pogodę i nadzieję płynącą z wiary w podstawowe i najtrwalsze wartości. Powieściowy świat ma swój tradycyjny, niewzruszony porządek, emanuje ciepłem. Bohaterowie kierują się sercem, a przyjaźń, dobroć, sprawiedliwość i miłość zawsze zwyciężają. Pomagają też przetrwać bolesne doświadczenia i rozjaśnić najsmutniejsze chwile. Nic więc dziwnego, że powieści Lucy Maud Montgomery towarzyszą nam już od dziesięcioleci. Nic więc dziwnego, że książkowe adaptacje trafiają też na scenę.

Irena Byrska przygotowała właśnie nową wersję „Ani z Zielonego Wzgórza” w Teatrze „Wybrzeże” w Gdańsku. Premiera odbyła

się w sobotę przed publicznością, której średnią wieku trudno chyba byłoby wyliczyć. Na widowni zasiadła młodzież i dzieci, byli ludzie starsi i przedstawiciele tzw. średniego pokolenia. No i nikt się nie nudził, a to mówi już samo za siebie. Irena Byrska, która rzecz adaptowała i reżyserowała, „wykroliła” z wielowątkowej powieści spektakl pod każdym względem wierny literackiemu pierwowzorowi. To przedstawienie prowadzące Anię Shirley z jętej kolejowej stacji do domu Maryll i

i Mateusza rośnie ich wychowanka. Nieco w głębi, wyżej widźmy pokoik Ani na facjacie, tak usytuowany, by umożliwić w paru fragmentach symultaniczny przebieg akcji. Dom Cuthbertów wyznacza w zasadzie jedno miejsce. Rzadko i na krótko akcja przenosi się poza domowe zaciszę, do leśnych zakątków, w których Ania spotyka się z Dianą, a potem z Gilbertem, na drodze gdzie Maryla rozmawia z przyjaciółką. Takie rozwiązanie plastyczne, sielsko-zielone, tradycyjne, ale z dobrym po-

obsada skompletowana została wręcz idealnie, a wykonawcy poszczególnych ról są jak „żywce przesilenia” z kart książki. Z dwoma wyjątkami niestety, o czym, za chwilę. W Sławomirze Kozieniec Ania Shirley znalazła interpretację wprost wymarzoną. Ta utalentowana aktorka gra Anię naprawdę świetnie. A nie jest to przecież łatwe, jeśli przychodziłby wiarygodnie rozwój bohaterki, stającej się młodą iadną kobietą z 12-letniej brzydkiej dziewczynki. Tę brzydą sierotę ma za-

zbyt jest infantylnie przerysowana, a to szarżowanie daje niezamierzony efekt humorystyczny. Śmiech zabrzmiał też w finale, w chwili płomiennego wyznania Gilberta (Przemysław Babiarz). Sztuczne to było afektowane i kto wie czy potrzebne, podobnie jak cały trzeci akt — rażący nieco kwilnością i dydaktyzmem.

Poza tym jednak opera się ta „Ania” czasowi, prezentuje się jako piękna i mądra historia dwojga samotnych ludzi i dziewczynki, która przypadkowo wkroczyła w ich życie. Dziewczynka ma temperament, fantazję, własny świat i wielkie serce, wnosi do domu Maryll i Mateusza radość. Maryla jest Halina Winiarska, Mateuszem — Jerzy Kliszki. Ona — to — jak w książce — szorstka skrywana starannie dobroć, on — cichy, nieśmiały, usuwający się w cień, bardzo kochający. Z liczego grona powieściowych bohaterów istnieją na scenie tylko Małgorzata Linde (Teresa Lassota), Pani Barry (Elżbieta Goetel) i Pani Blewett (Halina Słowjewska). Ale zarówno sama adaptacja jak i jej sceniczny kształt, z tą niewielką galerią postaci wydobywa powieściowe „rzeczy sedno”. A znaczy to tyle, że nie raz wilgotnieją nam oczy, a po chwili twarz sama układa się w serdecznym uśmiechu. Ten spektakl po prostu wyzwała wzruszenia i ucy pogodę.

Powrót na Zielone Wzgórze

Anna Jęsiak

Mateusza, a potem — poprzez lata szkolne ku pierwszym samodzielnym dorosłym już decyzjom — idealnie oddaje klimat książki.

Liliana Jankowska, autorka scenografii zaprojektowała wystrój sceny w ten sposób, by zmiany planów i miejsca akcji dokonywały się szybko i niemal niepostrzeżenie. Centrum zdarzeń — to oczywiście dom Cuthbertów z wnętrzem przytulnym i skromnym, wśród zieleni naturalnie. Na pierwszym planie znajduje się jadalnia-salonik. To tu toczy się życie sąsiedzkie i towarzyskie, tu pod opieką Maryll

mysłem na komponowanie teatralnej przestrzeni budują pełen uroku nastroj. Muzyka Andrzeja Głowińskiego — dyskretnie pobrzmiewająca nutką „westernową” dopełnia tej pastelowej, stylowej (ale bez przesady) tańkości. Reszta — należy do aktorów.

Gdy mamy do czynienia z teatralnymi czy filmowymi adaptacjami lubianych książek, zawsze mimo woli odnosimy je do własnych wyobrażeń. I zwykle coś nam „nie gra”. Najczęściej nie godzimy się z bohaterami, którym nasza imaginacja nadała inny obraz. Tym razem takie spory zdają się być bez sensu, bo

pewna podkreślać wyjątkowo nieudana ruda peruka. Tę z warkoczami można jeszcze znieść, ale ta druga oszpeca dorastającą Anię tak, że nawet trudno zrozumieć Gilberta... To „zgrzyt” zbędny, wynikający chyba z zwykłego niechlujstwa czy niedopatrzenia. Nieporozumieniem natomiast jest powierzenie roli Diany Marii Mielnikow. Teatralna umowność ma swoje granice i największe nawet starania aktorki nie pozwalają nam zaakceptować tej niby-nastolatki, niby-dziecka o aparycji do rościej kobiecy. Ania Sławomiry Kozieniec też zresztą w dwóch bodaj scenach na